

Nad Odrą i nad Dnieprem

Przeszłość i przyszłość polskiej myśli imperialnej

Wojciech Kwasiebski



Cyfrowa Biblioteka
Myśli Narodowej

Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu

„Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej”.

Więcej o samym projekcie oraz inne nasze publikacje możesz znaleźć na stronie cbmn.pl

Chciałbyś wspomóc rozwój naszego projektu?

Przełącz darowiznę na cele statutowe Stowarzyszenia im. Przemysła II.

Dane do przelewu:

06 1140 2004 0000 3302 7794 3035

Stowarzyszenie im. Przemysła II

ul. Szkolna 7

62-060 Stęszew

Opracowanie na podstawie Wojciech Kwasieborcki, *Nad Odrą i nad Dnieprem*,
Polska Organizacja Akcji Kulturalnej, Warszawa 1939

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



**Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.**

Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)



SPIS TREŚCI

Przedmowa	4
Wstęp	5
Polskie tendencje rozwojowe	7
I. Okres piastowski	7
II. Okres nowożytny	8
Niemcy i Wschód	12
I. Niemcy i Polska	12
II. Niemcy i Rosja	15
Rosja i Polska	19
Polska i Wschód	23
Program polityki polskiej	27
I. Program Dmowskiego	27
II. Program „Wyprawy Kijowskiej”	29
III. Program „Pałacu Brühlowskiego”	30
Drogi Wielkiej Polski	32

PRZEDMOWA

Niniejszy szkic historyczno-polityczny, wydany obecnie w formie osobnej broszury przez „Polską Organizację Akcji Kulturalnej”, był pierwotnie drukowany w miesięczniku „Przełom” w październiku 1938 r.

Celowo podkreślam, że jest to szkic publicystyczny nie zaś wykończone studium o zagadnieniach polskiej polityki zagranicznej, ponieważ poruszyłem w nim jedynie problem stosunków Polski z Rosją i z Niemcami. Znaczną część mego szkicu poświęciłem rozważaniom historycznym. Było to konieczne, jeśli się zważy, że tylko na obszernym tle historycznym można budować rozsądny, mający oparcie w rzeczywistym biegu dziejów, plan polityki zagranicznej.

„Nad Odrą i nad Dnieprem” jest pierwszą próbą szerszego sformułowania dążeń Ruchu Narodowo-Radykalnego w dziedzinie geopolitycznego rozwoju Polski. Oczywiście jest to sformułowanie niepełne, pomijające cały szereg bardziej szczegółowych, lecz doniosłych zagadnień. Zagadnienia te pozostają więc nadal przedmiotem pracy programowej naszego Ruchu.

W. K.

WSTĘP

Państwo polskie nigdy nie zaznało na swych granicach dłuższego okresu spokoju, nigdy nie mogliśmy całkowicie obrócić naszych sił na pokojową pracę w własnym domu i oderwać czujnego wzroku od sąsiednich krajów, skąd nadciągało niebezpieczeństwo.

Na przestrzeni dziejów nasze państwo przypomina zewsząd obleganą i atakowaną twierdzę. Nie mieliśmy szczęścia do sąsiadów, ze wszystkimi krzyżowaliśmy nasze szable. Walczyliśmy z Prusami i z Moskwą. Król polski panował w Pradze czeskiej, Przemyślidzi wojowali z nami o książęcą koronę krakowską. Wojska węgierskie przekraczały Karpaty, by rozciągnąć władzę Arpadów na Grody Czerwieńskie. Najeżdżali nasze ziemie Turcy, Tatarzy, Kozacy, pustoszyli je Siedmiogrodzianie, niepokoili plemiona zamieszkujące dorzecza Dniestru i Prutu wyprawy litewskie sięgały czasami aż po Tarnów i Łęczycę...

Minęło blisko tysiąc lat naszej politycznej historii. Na wielkich połączeniach polskich granic, które kiedyś przez całe wieki pławiły się we krwi, zawitał spokój. Nie obawiamy się już dzisiaj najazdu Węgrów na Ruś Czerwoną ani pretensji Czechów do rządów w Warszawie; nie niepokoją nas Turcy i Tatarzy, a miasta wielkopolskie nie potrzebują drzeć na myśl o łupieżczych wyprawach litewskich... Zmieniło się bardzo dużo na naszych granicach – nie zmieniło się tylko jedno: podobnie, jak przed setkami lat, nie możemy dziś spokojnie odwrócić oczu od granicy wschodniej i zachodniej. Te bowiem są nadal niepewne.

Nie ma chyba w Europie państwa, które by kiedykolwiek żyło w zupełnej zgodzie ze swymi sąsiadami. Nie stanowimy więc pod tym względem jakiegoś wyjątku. Zarówno jednak nasza historia, jak i historia innych narodów wskazuje, że zatargi między poszczególnymi państwami i narodami mają różne źródła i w zależności od nich, różny charakter. Jedne, wywołane antagonizmem dynastycznym, przejściowym, żarłocznym imperializmem tej czy innej strony, chwilową kolizją interesów ekonomicznych czy politycznych, wywołują starcia, nierzadko długie i krwawe, ale zasadniczo przejściowe, koniunkturalne. W miarę zresztą jak w poszczególnych państwach ośrodek władzy przechodził z dynastii panującej do narodu, malała ilość zatargów tego typu.

Występują natomiast w stosunkach między narodami konflikty inne, konflikty, które, choć z różnym natężeniem, zdradzają cechę historycznej stałości, ciągną się przez stulecia, wypływają ze źródeł, stale żywych i stale działających. Źródła te nie wysychają mimo upływu długich lat, mimo wielkich zmian politycznych, rewolucji ustrojowych i przeobrażeń gospodarczych w walczących narodach.

Do tego typu zatargów doświadczenie naszej historii nakazuje zaliczyć dziejowy spór Polski ze wschodnim i zachodnim sąsiadem.

I dlatego też w całym, rozległym i skomplikowanym, zagadnieniu polskiej polityki zagranicznej wysuwa się na pierwszy plan problem o nieprzemijającej doniosłości, niezależny od przejściowej koniunktury politycznej, problem, który został niedawno, w jemu właśnie poświęconej publikacji ujęty w słowa: między Niemcami a Rosją.

Zanim jednak przejdę do bezpośredniej analizy tego zagadnienia i do wyprowadzenia z niej pewnych konkretnych wniosków programowych, pragnę poświęcić przed tym nieco uwagi historycznym tendencjom rozwojowym polityki polskiej. Bez uchwycenia bowiem i zrozumienia ich kierunku nie sposób zrozumieć istotę naszego obecnego położenia między dwoma wrogimi sąsiadami, ani też wytyczyć drogi postępowania polityki Polski przyszłej, Polski Wielkiej.

POLSKIE TENDENCJE ROZWOJOWE

I. OKRES PIASTOWSKI

Państwo polskie powstało w ogniu walki z Niemcami jako pierwszy organizm polityczny wśród ludów słowiańskich między barierą sudecko-karpacką i Bałtykiem, który oparł się skutecznie naporowi germańskiemu.

Fakt ten zaważył na kierunku polityki piastowskiej, która zwracała się zasadniczo na zachód, przeciwko państwu, stanowiącemu główne niebezpieczeństwo dla młodej, piastowskiej monarchii. Równocześnie, obok kierunku zachodniego występował w polityce polskiej kierunek północny, rozszerzający nasze ramy polityczno-państwowe znad dorzecza Warty ku ujściu Odry i Wisły, ku wybrzeżom morza Bałtyckiego, wśród ciągłych walk zarówno z pogranicznymi marchiami Cesarstwa, jak i z plemionami pomorskimi.

Tak więc w polityce naszych pierwszych, piastowskich królów, zwłaszcza najwybitniejszych z nich: Chrobrego i Krzywoustego panuje kierunek północno-zachodni, wyrażający się bądź w zażartej obronie granic państwa przed potężnym naciskiem Cesarstwa, bądź też w zbrojnym rozszerzaniu wpływów polskich na ziemię, których nie zdążyła jeszcze zalać fala germańska. To zwrócenie się frontem na zachód i ku Bałtykowi występuje również w okresie dzielnicowym jako stała tendencja naszej myśli politycznej, przebijająca poprzez chaos polityczny, który wypełniał dwa wieki naszych dziejów, w planach Przemysława Wielkopolskiego i Łokietka.

Nasza walka z Niemcami w epoce piastowskiej nie zakończyła się wygraną na całej linii. Byliśmy w niej przeważnie stroną broniącą się i w obronie ustępującą krok za krokiem przed naporem potężnego sąsiada. Nie zdołaliśmy utrzymać zachodniej granicy imperium chrobrowskiego, nie zdołaliśmy nawet powstrzymać przeciwnika na linii Odry. Mniej więcej w połowie omawianego okresu utraciliśmy na rzecz marchii Brandenburskiej Pomorze nadodrzańskie, przy końcu zaś Śląsk, chwilowo na rzecz Czech, po tym Austrii, której, już u schyłku istnienia Rzeczypospolitej, wydarły go Prusy.

W ręku polskim pozostał jednak bastion poznański – kolebka polskiego państwa, złowrogo wszakże okrążany od północy i południa przez dwa ramiona niemczyzny. Ta, najdalej dziś na zachód wysunięta, część polskiego obszaru narodowego ocalała w wiekowych zmaganiach z niemieckim najeźdźcą. Znad Łaby i Odry zostaliśmy zepchnięci nad Wartę i Noteć, ale opór polski nie pozwolił już posunąć się dalej zachodniemu sąsiadowi.

Gdyby opór ten okazał się za słaby, gdybyśmy nie posiadali monarchów typu Chrobrego i Krzywoustego i zakorzenionej w instynktach polskich, ich tradycji politycznej, kto wie, którędy by przebiegała dziś nasza zachodnia granica, a właściwie kto wie, czy bylibyśmy narodem polskim...

Pochód niemiecki na zachodnie ziemie polskie zatrzymał się w XIII-tym wieku. Przyczyniły się także do tego w niemałej mierze wewnętrzne przemiany u naszego zachodniego sąsiada, przesuujące – wraz z oddaniem cesarskiej korony Rudolfowi

Habsburgowi – ośrodek polityczny cesarstwa na południe, do „marchii wschodniej”, kolebki późniejszego państwa austriackiego. Mniej więcej w tym samym jednak okresie zagnieździł się u ujścia Wisły Zakon Krzyżacki. On też wskrzesił w całej okazałości nigdy niewygasłą tradycję polityki Cesarstwa wobec państwa polskiego, on też stał się zalążkiem wielkiej siły politycznej, która to państwo wreszcie powaliła.

Naród niemiecki bowiem nigdy nie uznał, że jego pochód na Wschód zakończył się raz na zawsze u wideł Warty i Noteci. Nie uznał, gdyż nie pozwalały mu na to bardzo głębokie czynniki. I nie uzna dopóty, dopóki czynniki te będą żyły.

Charakterystyka tendencji rozwojowych polityki polskiej w epoce piastowskiej była by niepełna, gdybyśmy pominęli jeszcze jeden, przeważnie u nas niedoceniany ich element.

Chrobry nie tylko zagarnął dla swego państwa wielkie obszary słowiańszczyzny nadłabskiej i nadodrzańskiej, ale również panował w Pradze czeskiej i wyprawiał się na Kijów. Bolesław śmiały rugował wpływy niemieckie z Czech i z Węgier, osadzając – wbrew cesarzowi – swoich kandydatów na obu tronach. Równocześnie, idąc śladem polityki swego pradziada, zdobył Kijów, by podporządkować tron wielkoksiążęcy polskim planom politycznym. Bolesław Krzywousty odzyskał Pomorze z ujściami Wisły i Odry, zdobył grody lutyckie: Julin i Szczecin, opanował Rugię, ale równocześnie utrwalił w krwawych walkach swój wpływ polityczny w Czechach i na Morawach oraz nie dopuścił do zagnieźdzenia się wpływów niemieckich na Węgrzech.

W okresie rozbicia politycznego Polski toczy się nieustanna walka książąt krakowskich zarówno z Rusią, jak i z Węgrami o panowanie nad Grodami Czerwieńskimi z Haliczem, nad Wołyniem z Włodzimierzem i linią Bugu z Brześciem.

Z powyższego, pobieżnego przeglądu naszej aktywności politycznej w epoce piastowskiej wynika, że linia ówczesnej polityki polskiej nie była bynajmniej jednostronna. Wspomniałem już, że zasadniczą, naturalną jej tendencją było zwracanie się w kierunku północno-zachodnim. Ale równocześnie zmierzaliśmy wyraźnie na wschód i na południe. U podstaw polityki najtęższych przedstawicieli dynastii piastowskiej: trzech Bolesławów – Chrobrego, śmiałego i Krzywoustego tkwi głęboka myśl imperium środkowoeuropejskiego pod hegemonią Polski, imperium, stanowiącego potężny wał polityczny przeciwko cesarstwu niemieckiemu, i rozszerzającego swe wpływy polityczne i swe granice na wschód, na szeroką płaszczyznę zlewiska morza Czarnego między Dniestrem i Dnieprem.

W tym chrobrowskim planie politycznym tkwi podstawowa zasada naszego geopolitycznego i cywilizacyjnego rozwoju, kryje się idea polskiej misji dziejowej.

II. OKRES NOWOŻYTNY

Następna epoka w dziejach tendencji rozwojowych naszego państwa rozpoczęła się w drugiej połowie wieku XIV-tego, jeszcze u schyłku okresu piastowskiego, chociaż wszystkie jej charakterystyczne cechy wystąpiły dopiero znacznie później. Do cech tych zaliczam stopniowe stępienie ostrza naszej polityki północno-zachodniej, a w rezultacie zupełne i wyłączne zwrócenie kierunku politycznego rozwoju państwa ku wschodowi.

Podkreśliłem, że wspomniane zjawisko nie wystąpiło nagle, przeciwnie, przyszło dopiero po okresie, w którym polska myśl polityczna wyraźnie nawiązywała do scharakteryzowanej już wyżej tradycji piastowskiej. Wprawdzie za panowania Kazimierza Wielkiego następuje w układzie naszych wpływów politycznych charakterystyczne przesunięcie; ostateczna utrata Śląska i rezygnacja z, opanowanego przez Krzyżaków, Pomorza przy równoczesnym podporządkowaniu Rusi Czerwonej i Zachodniego Wołynia, ale już w niecałe pół wieku po tym Jagiełło prowadzi wojska litewsko-polskie pod Grunwald...

Mała, piastowska Polska rozrosła się dzięki unii z Litwą w największe mocarstwo środkowej Europy. W sposób, niemający podobnego sobie w dziejach, nasze granice przesunęły się o tysiące kilometrów, znad Bugu i Dniestru po Dźwinę i Worskłę. Państwo polskie ujrzało się nagle w posiadaniu ogromnych obszarów, znacznie większych od tych, nad którymi panował ostatni przedstawiciel dynastii Piastów.

Nie ma tu miejsca na analizowanie skutków, jakie w wewnętrznym życiu Rzeczypospolitej, w kształtowaniu się polskiego charakteru narodowego i polskiej psychologii politycznej pociągnął za sobą tak olbrzymi, a równocześnie tak raptowny i – co bardzo ważne – tak... niezapracowany, łatwy rozrost naszego państwa. To, ze wszech miar ciekawe zagadnienie wykracza poza ramy niniejszego szkicu. Tutaj natomiast wyłania się zagadnienie inne, niemniej ciekawe...

Oto państwo polskie, przesunąwszy swe granice tak daleko na wschód, bynajmniej nie skierowało tam całkowicie swej ekspansji polityczno-cywilizacyjnej. A przecież istniała niemała po temu pokusa... Ogromne, bogato wyposażone przez przyrodę a słabo zaludnione obszary wprost domagały się wyładowania na nich całego zasobu naszej energii cywilizacyjnej. Płynność politycznych granic w bezludnym dorzeczu dolnego Dniepru czyniła ekspansję polityczną w tamtym kierunku stosunkowo łatwą i ponętną...

I gdy ta, świeżo pozyskana, droga na Wschód kusiła tak przemożnie polski instynkt imperialistyczny silny jeszcze przecież za pierwszych Jagiellonów, myśmy o dziwo, krwawili się pod Grunwaldem, pod Chojnicami, pod Malborkiem, przedzierając się z głuchym uporem ku Bałtykowi, trzymając się pazurami tego, co wydzierał nam Zakon Krzyżacki. Stanowczy zwrot ku wschodowi nastąpił dopiero w wieku XVI-tym i XVII-tym. Badając rozwój kolonizacji polskiej, idącej na wschód, widzimy, że, dość słaba w wieku XV-tym, rozlała się ona szeroko po Rusi Czerwonej dopiero w następnym stuleciu, a na Podole (za Zbruczem) i Ukrainę wkroczyła w całej pełni dopiero na kilkadziesiąt lat przed wojnami kozackimi.

U źródeł, omawianego wyżej, zjawiska tkwiło przede wszystkim, głęboko w umysłach i instynktach polityków polskich ówczesnej doby zakorzenione, przeświadczenie, że pełne skierowanie naszej energii narodowej na wschód bez uprzedniego rozerwania kleszczy niemieckich, które zacisnęły się nad górną Wisłą, było by krokiem lekkomyślnym, mogącym zbyt ciężko zaważyć na całym naszym dalszym politycznym i cywilizacyjnym rozwoju.

Polska, idąca nad Dźwinę i ku wybrzeżom morza Czarnego, ale równocześnie odcięta od Bałtyku, z rakiem krzyżackim, nieustannie wgryzającym się w ziemię

Dobrzyńską i Kujawy, stale zagrażającym Wielkopolsce, mogła by zostać z czasem wyparta ze swej geopolitycznej kolebki, odepchnięta od cywilizacyjnego Zachodu, skazana na przesunięcie ośrodka życia państwowego dalej, na wschód... Nie potrzeba mieć specjalnie rozwiniętej wyobraźni historycznej, by zrozumieć, jakie mogłoby to mieć skutki dla dalszych losów całej naszej cywilizacji.

Groziło nam ponownie niebezpieczeństwo, zażegnane ongiś mieczem Chrobrego i Krzywoustego. Tylko w okresie pierwszych Piastów, konieczność bezwzględnego uporania się z zachodnim sąsiadem była postulatem polityki polskiej tak oczywistym, że nie mieliśmy wówczas dwóch dróg do wyboru. Cofając się na wschód przed naporem niemieckim, szliśmy pod miecz Rusinów, Tatarów, Jadźwingów... Tych przeciwników nie miała już Polska za swymi plecami w wieku XV-tym, przeciwnie, otwierał się tam przed nami kraj żyzny i pusty, czekający tylko na polski pług i polską organizację państwową.

Mieliśmy dwie drogi do wyboru...

I przyznam się, że niewiele faktów i zjawisk politycznych w naszej przeszłości wzbudza we mnie taki podziw, taki szacunek dla polskiego rozumu politycznego, jak właśnie ten wybór przez ówczesne pokolenie drogi największego oporu.

Wiodła ona na Wschód, ale poprzez bitwę grunwaldzką i pokój Toruński, przez gruzy Zakonu Krzyżackiego i polski Gdańsk.

W tym samym okresie naszych dziejów zabłysła po raz ostatni w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej stara idea piastowska: imperium środkowo-europejskiego pod hegemonią Polski. Przy końcu XV-tego stulecia idea ta zaczęła ponownie nabierać realnych kształtów. Na tronach w Pradze i w Budzie zasiadł królewicz polski, syn monarchy, panującego w Krakowie i w Gdańsku, w Kijowie i w Witebsku... Tak, jak w okresie Chrobrego i Śmiałego, Czechy i Węgry ponownie wchodziły w ramy polskiego systemu politycznego i również, jak wówczas – w walce z politycznymi wpływami Cesarstwa. Niestety myśl ta nie znalazła na tronie polskim człowieka, zdolnego do uczynienia z niej osi naszej polityki zagranicznej. Zygmunt Stary z właściwym sobie niedołęstwem zaprzepaścił ją, zmarnował owoce tego, co już zostało stworzone, wpuścił do Czech Habsburgów. Turcy pod Mohaczem dokonali reszty.

Polskimi rękoma został zniweczony wielki plan polityczny. Prawie równocześnie linia polityki polskiej, tak rozumnie wykreślona przez pierwszych Jagiellonów, uległa katastrofalnemu zwichnięciu.

Dziwnie tragicznym zrzędzeniem losu w przełomowym okresie naszych nowożytnych dziejów, przełomowym zarówno dla kształtowania się polskich form ustrojowych i charakteru naszego politycznego społeczeństwa, jak i dla kierunku naszej politycznej ekspansji, mieliśmy na tronie Zygmunta Starego.

W chwili, gdy problem krzyżacki dojrzał do ostatecznego rozwiązania, ręce polskiego króla zbudowały na ziemiach dawnego Zakonu państewko pruskie, w którym w dwieście lat później miał panować Fryderyk Wielki...

Linia polityki polskiej została zwichnięta. W ciągu wieku XVI-ego zwróciliśmy się już zdecydowanie w kierunku wschodnim, ale za naszymi plecami został, zhołdowany co

prawda, lecz obcy organizm polityczny, organizm niemiecki. I im wyłącznie, im pełniej nasza energia polityczna, militarna i cywilizacyjna szła nad Dniepr i Boh, tym szybciej rósł, rozwijał się i wykazywał coraz większą żywotność pruski drapieżnik, którego nie zdeptała do reszty tolerancyjna polska stopa.

Polska nauka historyczna w okresie popowstaniowym i późniejszym dopatrywała się w naszej ekspansji na wschód jednej z głównych przyczyn katastrofy politycznej, która przecięła życie starej Rzeczypospolitej. Bobrzyński oskarżył ją o rozluźnienie i wypaczenie naszego życia wewnątrzno-politycznego, o rozcieńczenie polskich sił narodowych, odebranie im prężności i dynamiki. Konopczyński udowadniał, jak każdy nasz wysiłek na granicach wschodnich okupywaliśmy stratami politycznymi na zachodzie. Wreszcie szkoła historyczna, stworzona przez literaturę polityczną Narodowej Demokracji zdecydowanie potępiła wschodni kierunek naszej polityki, głosząc przez usta Popławskiego konieczność powrotu „na starą drogę, którą ku morzu trzebiły krzepkie dłonie wojów piastowskich”.

Nieco dalej rozpatrzę obszerniej problem Wschodu w naszym rozwoju polityczno-cywilizacyjnym. Teraz, wracając do poruszonych, zagadnień historycznych, chcę jedynie podkreślić, że – a postaram się później ten pogląd uzasadnić – nie należy potępiać samej zasady polskiej ekspansji na wschód, lecz jedynie fakt, iż nastąpiła ona przed skryształowaniem się naszych form ustrojowych i całego typu naszego nowożytnego życia społeczno-politycznego, gdyż później na jego rozwoju fatalnie zaciężała, oraz, że zostawiła ona za plecami, idącego na wschód, narodu niezniszczony pruski organizm państwowy, który stał się z czasem grabarzem Rzeczypospolitej.

Zapłaciliśmy za ten błąd półtorawiekową niewolą. Oczywiście, na upadek państwa polskiego złożył się cały szereg różnorodnych i skomplikowanych czynników. Nie mam bynajmniej zamiaru upraszczać tego zagadnienia. Ale jedna tylko siła polityczna dążyła świadomie i konsekwentnie do tego, by upadek naszej Ojczyzny stał się faktem, by Polska rzeczywiście przestała istnieć. Jedno państwo dobrze rozumiało, że źródło jego dziejowej kariery bije wśród gruzów zniszczonej Rzeczypospolitej.

Państwem tym były Prusy.

NIEMCY I WSCHÓD

I. NIEMCY I POLSKA

Pisałem już o sąsiadach złych i dobrych, o przeciwnikach historycznych i koniunkturalnych. Otóż Niemcy są naszym złym sąsiadem, są od zarania politycznych dziejów Polski naszym przeciwnikiem.

Z tego co napisałem nie wynika jednak, że nasz ruch obdarza naród niemiecki jakąś specjalną nienawiścią. Bynajmniej. Wielokrotnie opinia masońsko-żydowska insynuowała nam uwielbienie dla III-ej Rzeszy, choć równocześnie utrzymuje, że jesteśmy szowinistami, nienawidzącymi wszystkiego, co obce, niepolskie. Mniejsza z tym, jak pogodzić te dwa poglądy – to już sprawa żydowskiej logiki. Oczywista to, okrzyczane przez rozhisteryzowane żargonówki „uwielbienie” jest zwykłym, uczciwym szacunkiem, jaki winniśmy narodowi, który w dwadzieścia lat po wielkiej klęsce potrafił, ofiarnie i wytrwale, odbudować swą dawną potęgę.

Mamy więc dla narodu niemieckiego szczerzy i głęboki szacunek za jego dzielność i energię, za jego bogatą twórczość cywilizacyjną, ale równocześnie twierdzimy, że jest on dla naszej Ojczyzny złym sąsiadem. Daleki jestem myśli o jakiejś odwiecznej, śmiertelnej nienawiści między krwią słowiańską i germańską. Nie, chodzi po prostu o to, że stosunki geopolityczne między nami i Niemcami tak się ułożyły, że nawzajem sobie przeszkadzamy, że potęga Polski i potęga Niemiec, nie tylko nie dadzą się pogodzić, ale wzajem się wykluczają. Kto usiłuje dowodzić, że jest inaczej, ten jedynie dowodzi, że nie rozumie historii obu narodów.

Państwo niemieckie znacznie wcześniej pojawiło się na widowni dziejowej niż państwo polskie. Gdy myśmy tonęli jeszcze w mrokach ustroju plemiennego, zachodni sąsiad stanowił już najsilniejsze mocarstwo w środkowo-zachodniej Europie. Rozpoczęliśmy też nasz byt historyczny jako jego wasal, a w walce z nim zbudowaliśmy niezależne i silne państwo polskie.

Nie należy tłumaczyć źródeł konfliktu polsko-niemieckiego tym, że cesarze niemieccy chcieli mieć w nas swego wasala, a myśmy nie chcieli być wasalem i dopiero siłą zmuszano nas do uległości. Oczywista, zuchwały władca polski, który nie tylko odmawiał składania lenniczego hołdu spadkobiercom rzymskich cesarów, lecz jeszcze pustoszył ich ziemie i wyrzynał załogi pogranicznych zamków, godził w cały uświęcony ustrój ówczesnej Europy i zasługiwał na surową, przykłądną karę.

Ale czyż cesarze niemieccy wyprawiali się przeciwko naszym Bolesławom jedynie w charakterze karcących, zagniewanych suwerenów? Nie, ich pchał w naszym kierunku instynkt zdobywczy i tendencje rozwojowe ludów germańskich. Drapieżny rozmach niemieckiego rycerstwa znajdował pełne ujście tylko na wschodzie. Krew niemiecka lała się obficie nad Renem i w Lombardii w walce o prymat cesarstwa w Europie, ale ludne i zorganizowane politycznie kraje czyniły wszelką ekspansję terytorialną w tamtym kierunku specjalnie trudną i krwawą. I dlatego też Niemcy wyładowali swój, tak właściwy ludom germańskim, instynkt zdobywczy i organizatorski, który ich skandynawskich

pobratymców rozstawił od Rusi po Sycylię, przede wszystkim na słowiańskich obszarach między Sudetami i Bałtykiem.

W ślad za zastępami cesarskiego rycerstwa ciągnęli niemieccy koloniści z gęsto zaludnionych prowincji nadreńskich i niemiecki pług brał w posiadanie wydarte słowiańszczyźnie obszary. Do końca wieku XIII-ego większa część zachodnich krajów dawnego imperium Chrobrego znajdowała się już we władaniu niemieckim. Przed, idącą na Wschód, niemiecką organizacją państwową rozpościerały się szeroko po ziemiach polskich macki niemieckiej kolonizacji. Bunt wójta Alberta i mieszczaństwa krakowskiego przeciwko Łokietkowi świadczy, jak pewnie czuli się w naszym kraju przybysze z zachodu i jak zuchwale traktowali słowiańskich tubylców. Patrzyli oni na Polskę jako na ziemię, którą Opatrzność przeznaczyła dla synów wielkiego narodu niemieckiego, gdy stanie im się zbyt ciasno w starych granicach. Po dziś dzień wśród niemieckich osadników w Poznańskim i na Pomorzu, nie zmienił się ten pogląd na Polskę, tak głęboko utkwiał w instynkcie politycznym naszego zachodniego sąsiada.

W ciągu XIII-ego stulecia stosunek Niemiec do Polski uległ pewnemu przeobrażeniu. Jak już wspominałem, ośrodek polityczny, skołatanego walką Welfów z Gibelinami, Cesarstwa przesunął się nieco na południe, u ujścia zaś Wisły pojawił się Zakon Krzyżacki.

Stosunki polsko-niemieckie weszły w nową fazę.

Krzyżacy stworzyli na wydartych Polsce i ujarzmionym plemionom pruskim, ziemiach silną organizację państwową. Zagnieżdżwszy się pewnie nad górną Wisłą i odciąwszy nas od Bałtyku, zaczęli rozszerzać swe granice ku północo-wschodowi, wreszcie, stanąwszy nad Niemnem, wyciągnęli drapieżne ręce ku posiadłościom litewskim.

Znowu na wschód!... Wzdłuż wybrzeży Bałtyku, okrążanego stopniowo przez ramię niemczyzny. Równocześnie klin krzyżacki wdrażał się w Kujawy i ziemię Dobrzyńską. Kierunek ekspansji Zakonu był logiczny i konsekwentny...

Grunwald wstrząsnął potęgą krzyżacką i zahamował jej rozwój. Jedenastoletnia wojna o Pomorze, uwieńczona pokojem Toruńskim, rozerwała wreszcie kleszcze niemieckie, oddała nam ujście Wisły, Toruń, Grudziądz, Gdańsk i Malbork. Już jednak w kilkadziesiąt lat później z niedobitków Zakonu formuje się księstwo pruskie. Polityka nowego, lennego państewka, otoczonego zewsząd posiadłościami Rzeczypospolitej, rozwijała się w sposób bardzo planowy i rozumny.

Pierwszym jej etapem było dążenie do politycznego zespolenia Prus Książęcych z elektorstwem Brandenburskim. Bez oporu ze strony Polski, przeciwnie, z jej wyraźną zgodą cel ten został osiągnięty w r. 1618. Po obu stronach polskiego Pomorza zarysowało się znowu widmo niemieckich kleszczy...

Następnie przyszła kolej na uwolnienie się z pod zwierzchnictwa Polski, pozbawionego już zresztą jakiegokolwiek praktycznego znaczenia. Cel ten osiąga „Wielki Elektor” w traktacie welawsko-bydgoskim 1667 r., stając się samodzielnym władcą Prus Książęcych W r. 1701 syn jego wieńczy dzieło ojca koroną królewską.

Państwo Hohenzollernów wyrosło na słabości Rzeczypospolitej, niedołęstwie i krótkowzroczności jej polityki. Z chwilą zaś, gdy nowa, samodzielna siła polityczna pojawiła się u północno-zachodnich granic Polski, nie ulegało wątpliwości, że dalszy rozwój młodego królestwa, wymagający przede wszystkim terytorialnego połączenia obu jego skrzydeł: Prus wschodnich i Brandenburgii, możliwy jest jedynie na gruzach siły Rzeczypospolitej.

Nad ujściem Wisły powstał tragiczny węzeł, który mógł zostać rozcięty albo na korzyść Polski przy klęsce Prus, albo na korzyść Prus przy upadku Polski. Niestety, Rzeczpospolita nie była już wówczas zdolna do jakiegokolwiek wysiłku na tym froncie.

Pierwszy rozbiór, w którym Prusy zagarnęły Pomorze i Warmię (bez Gdańska i Torunia) był dalszym krokiem w dziele niszczenia Polski przez ekspansję niemiecką. Dalszym, ale bynajmniej nie ostatnim.

Kto rozumiał istotę geopolitycznego położenia państwa Fryderyka II-ego, dla tego było rzeczą oczywistą, że nie mogło ono poprzestać na wydarciu Polsce tego, co wydarło przy pierwszym rozbiórze. Położenie, najdalej na wschód wysuniętego, skrzydła królestwa pruskiego – dawnych Prus Książęcych – przesądzało o konieczności dalszych nabytków terytorialnych, zapewniających tej prowincji naturalne zaplecze, oczywiście – kosztem Polski. Historycy niemieccy, uzasadniając rozbiory Rzeczypospolitej, przyznają się do tego zupełnie otwarcie. „Dla posiadacza Wrocławia, Poznania i Królewca – dowodził Heinrich Sybel – sama przyroda wytknęła jedynie pewną granicę w liniach Niemna, Narwi i Wisły”.¹

Dlatego też po pierwszym rozbiórze musiał przyjść jako jego nieuchronna konsekwencja, drugi rozbiór Polski. Właściwy jednak cel osiągnęła polityka pruska dopiero w trzecim rozbiórze – był on dla Prus pełnym uwieńczeniem, rozpoczętego w 1772, dzieła wyrównywania granicy wschodniej.

I dziś, kto chce zrozumieć istotę polityki niemieckiej wobec Polski, musi przede wszystkim głębiej przemyśleć linię trzeciego rozbioru. Ona bowiem ujawnia właściwy sens niemieckich pretensji terytorialnych do naszego kraju, wskazuje, o co naprawdę chodzi posiadaczom Prus Wschodnich: nie tylko o Pomorze i Wielkopolskę, to znaczy o to, co otrzymali w latach 1772 i 1793 – chodzi im właściwie o całe dorzecze Wisły. Komu niewiele jeszcze mówi krótkotrwała linia trzeciego rozbioru, niech porówna ją z granicą okupacji niemieckiej w b. Królestwie Kongresowym w czasie Wielkiej Wojny, a wreszcie z granicami „państwa” polskiego, utworzonego aktem dwóch cesarzy w 1916 r. – wszędzie, przy pewnych, względnie nieznaczących odchyleniach terytorialnych, przebija jedna i ta sama myśl: podporządkowania polityce niemieckiej dorzecza Wisły, jedynej, naturalnej podstawy dla zdrowego rozwoju Prus Wschodnich – kolebki pruskiego państwa.

Polityka, zbudowanego przez Bismarcka, cesarstwa niemieckiego konsekwentnie szła wobec Polski po linii pruskiej. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że

¹ „*Geschichte der Revolutionszeit*” tom IV, str. 53.

cesarstwo to zostało stworzone przez Prusy i z pruską dynastią na tronie, że Prusy odgrywały w nim główną rolę polityczną, że wreszcie Prusy przeszczepiły w nie wszystkie swe instynkty i tradycje polityczne. Ów proces duchowego podbicia narodu niemieckiego przez państwo, które powstało poza germańskim obszarem narodowym, na ziemiach rdzennie słowiańskich, zdobytych metodami, zasługującymi na specjalne wyróżnienie w dziejach okrucieństwa ludzkiego, jest jednym z ciekawszych zjawisk historycznych. W historii Prus wylęło się to, co my, Polacy, tak dobrze znamy i co zostało ochrzczone mianem „ducha pruskiego”. Jest to pruski charakter narodowy, odznaczający się niesłychanie wyrazistą konkretnością i przebijający we wszystkich dziedzinach pruskiego życia, od polityki poczynając, a na sztuce kończąc. Odznacza się on ogromną siłą asymilacyjną. Nadał styl Niemcom wilhelmowski, nadaje go również Niemcom hitlerowski. Hitlerizm, ruch, którego kolebką były Niemcy południowe, Bawaria, uległ wyraźnie duchowi pruskiemu. Stolicą duchową III-ej Rzeszy nie zostało Monachium ani Norymberga jest nią nadal Berlin. Ernst Kriek, jeden z wybitniejszych teoretyków wychowania narodowo-socjalistycznego, twierdzi z zapałem, że duch tego wychowania musi być skojarzeniem dwóch największych wartości niemieckiej kultury: ducha germańskich wojowników i ducha koszar Królewca i Poczdamu. Tego rodzaju postawa duchowa i takie idee wychowawcze nie mogą nie iść w parze z bardzo określonymi ideami politycznymi. My, Polacy, dobrze, bardzo dobrze wiemy, co to jest „duch koszar Królewca i Poczdamu”...

Nie docenilibyśmy jednak rozmachu polityki niemieckiej, zasięgu jej ambitnych dążeń i wielkości jej celów, sądząc, że ograniczyła ona swe perspektywy i swe plany do obszaru, określonego od wschodu linią Niemna i Bugu.

Już w wieku XIV-tym Zakon Krzyżacki nie chciał się zatrzymać na linii Niemna, a cóż dopiero mówić o wielkim, rozrośniętym, zorganizowanym w potężne państwo, współczesnym narodzie niemieckim! Prusom Fryderyka Wielkiego i jego następców wystarczały nabytki terytorialne, robione kosztem Polski w celu zaokrąglenia granic królestwa, a zwłaszcza – jak to widzieliśmy – oparcia jego wschodniej prowincji na naturalnej podstawie gospodarczej i geopolitycznej. Nadszedł jednak czas, kiedy naród niemiecki zaczął patrzeć na Polskę nie tylko już jako na kraj, który przeznaczyła mu, łaskawa dla Niemców, Opatrzność, ale również, jako na pomost, otwierający dla narodu panów drogę dalej, na Wschód...

Droga ta wiodła na szeroką równinę wschodnio-europejską, na której rozpościerało się imperium rosyjskie.

II. NIEMCY I ROSJA

Czynnikiem, wiążącym z sobą oba państwa, była od drugiej połowy XVIII-tego wieku sprawa polska. Fakt, że polityka niemiecka szachowała Rosję sprawą polską i uzależniała ją w ten sposób od siebie jest już dziś dostatecznie wyświetlony. Rosja, pragnąc panować nad Wisłą, musiała *volens nolens* liczyć się z Berlinem. Geograficzno-militarne położenie ziem Królestwa Kongresowego umożliwiało caratowi panowanie nad nim jedynie przy pokojowych stosunkach z Niemcami. Rosja nie mogła skutecznie walczyć z powstaniem zbrojnym w Królestwie bez zapewnionej neutralności a nawet

pomocy ze strony Niemiec², a równocześnie w wypadku wojny z Niemcami, nie mogła marzyć o skutecznej obronie bez neutralności Polaków w Królestwie.

Nie będę zatrzymywał się dłużej nad tą kwestią, dziś – dzięki dziełom Dmowskiego – dostatecznie już naszej opinii wyjaśnioną. Poruszając ją, chciałem jedynie podkreślić, że głównym węzłem, który utrzymywał Rosję w orbicie polityki niemieckiej była sprawa polska. Oczywiście nie był to węzeł jedyny. Obok niego istniały węzły dynastyczne, istniały wewnątrz Rosji potężne wpływy niemieckie, idące od biurokracji niemieckiego pochodzenia, która od czasów Piotra Wielkiego zalewała państwo Romanowów. Wszystkie te łączniki nie były jednak zdolne zasypać głębokich przeciwieństw między interesami obu mocarstw. Im szybciej Niemcy rosły w potęgę, tym trudniejsze stawało się położenie „zaprzyjaźnionego” sąsiada. Berlin opłatywał Rosję pajęczyną swych wpływów politycznych, przeznaczając ją na pokarm dla pruskiego pająka.

Kongres Berliński 1878 r., na którym przy cichej aprobacie Niemiec pozbawiono Rosję owoców zwycięstwa nad Turcją był pierwszym, silnym zgrzytem w stosunkach rosyjsko-niemieckich i wstępem do późniejszego przejścia Rosji do obozu antyniemieckiego. Oczywiście ta, tak doniosła w skutkach, ewolucja rosyjskiej polityki zagranicznej postępowała naprzód bardzo wolno, z licznymi nawrotami, z nieustannie powtarzającymi się próbami zacieśnienia pękających węzłów rosyjsko-niemieckich. Bismark usiłował za wszelką cenę nie dopuścić do sojuszu Rosji z Francją, którą udawało mu się tak zręcznie izolować w polityce europejskiej po wojnie 1870–71 r. Nie mógł jednak zapłacić Rosji ceny zbyt wygórowanej: poświęcenia dla bałkańskich interesów caratu – bałkańskich interesów swego drugiego sojusznika: Austro-Węgier. Po mistrzowskim lawirowaniu między dwoma kandydatami na sojuszników Bismark wybrał wreszcie pewniejszego, silniej od siebie uzależnionego, to znaczy Austrię.

Zapoczątkowany przez Wilhelma II-go, południowo-wschodni kurs polityki niemieckiej wzdłuż linii Berlin – Bagdad wykopał jeszcze większą przepaść między Niemcami i Rosją. Rosja bowiem tradycyjnie zwracała ostrze swej polityki przeciwko, wziętemu przez Niemcy w opiekę, państwu Ottomańskiemu, które panowało nad tak ważnym dla interesów rosyjskich punktem: cieśninami między morzem Czarnym i Egejskim.

Sprawy bałkańskie, w których Niemcy zdecydowały się popierać Austrię przeciwko Rosji i problem Konstantynopola, gdzie wpływy niemieckie zaczęły rozwiewać stare carskie sny o nowym Bizancjum rzuciły wreszcie Rosję w objęcia koalicji antyniemieckiej i popchnęły do wojny z dawnym serdecznym sprzymierzeńcem.

Dopiero jednak w czasie tej wojny wyszła na jaw istota polityki niemieckiej wobec Rosji. Okazało się, że dążenia Niemiec godzą w Rosję nie tylko na Bałkanach i w cieśninach

² Przykładem może tu być fakt, że manewr Paskiewicza w sierpniu 1831 r. Polegający na przeprawie przez Wisłę poniżej Warszawy i uderzeniu na stolicę od zachodu był możliwy do wykonania dzięki pomocy technicznej i aprowizacyjnej, udzielonej armii rosyjskiej przez władze pruskie.

tureckich, ale, że zwracają się przeciwko niej w sposób znacznie bardziej prosty i bezpośredni.

Rozwijającemu się w szalonym tempie pod względem gospodarczym, rozrastającemu się niemniej szybko liczebnie, narodowi niemieckiemu zaczynało być przy końcu ubiegłego stulecia ciasno w starych granicach. Dynamika demograficzna Niemiec parła coraz silniej na wschodnią granicę cesarstwa, po za którą rozciągały się obszary, znacznie słabiej zaludnione, a przy tym obfitujące w nieprzebrane bogactwa naturalne. Obszary te – od zatoki fińskiej po Kaukaz – coraz przemożniej nęciły niemieckie oczy, posiadanie ich otwierało wspaniałe, podniecające niemiecki imperializm, perspektywy drogi w głąb Azji, do Indii...

Idea ekspansji, zwróconej bezpośrednio na Wschód, żyła zresztą w instynktach polityki niemieckiej, chowającej we wdzięcznej pamięci tradycje średniowiecznego cesarstwa, Zakonu Krzyżackiego i fryderykowskich Prus. Dopiero jednak hitleryzm, który rozwijał się w Niemczech, pozbawionych kolonii i źródeł surowców, cierpiących na nadmiar ludności, szukających gwałtownie ujścia dla swej, odrodzonej po klęsce, energii gospodarczej i politycznej, wskazał niedwuznacznie na równinę wschodnioeuropejską, jako na główny teren ekspansji, duszącego się w swych granicach, narodu. Hitler uczynił z tej myśli zasadniczą oś, wyłożonego w „*Mein Kampf*”, programu polityki nowych Niemiec. „My, narodowi socjaliści – pisał – wracamy do polityki germańskiej z przed sześciuset lat, zatrzymujemy pęd na południe i zachód i zwracamy wzrok na ziemię Wschodu. Kończymy ostatecznie z polityką kolonialną i handlową i przechodzimy do polityki obszaru, w której widzimy przyszłość. Skoro więc dziś myślimy o nowych obszarach w Europie, musimy myśleć w pierwszej mierze o Rosji i otaczających ją państwach. Naszym zadaniem będzie wytrwała praca niemieckiego pług, dla którego obszarów dostarczy miecz.³

Nie należy patrzeć na powyższy program jako na fantazje utopijnego imperializmu i nie należy traktować go z takim pobłażliwym spokojem, z jakim go w Polsce wielu ludzi traktuje. Program ten nie jest fantazją, powiem więcej: nie jest już tylko teorią. Hitler teoretycznie go sformułował, ale nie wymyślił. To program stary, program, który był już bardzo bliski pełnej realizacji...

Kto pragnie mieć realną ilustrację do wielkiego, hitlerowskiego planu niemieckiej ekspansji na Wschód, winien przypomnieć sobie dwa fakty z niedawnych dziejów: pokój brzeski, zawarty przez państwa centralne z Ukrainą i z Rosją Sowiecką w 1918 r. i okupację ziem b. imperium rosyjskiego przez wojska austro-niemieckie.

Wiosną 1918 r. armie austro-niemieckie, idące w głąb pokonanej Rosji, stanęły na linii, biegnącej na północy od jezior fińskich poprzez Narwę, Psków, Połock, Mohylew, Homel, dalej skręcającej bardziej na wschód, przecinającej linię kolejową Kursk – Charków i dochodzącej wreszcie do Rostowa nad Donem. Równocześnie wojska niemieckie posunęły się na Kaukaz i obsadziły linię kolejową Tyflis – Baku... Tak więc we władaniu Niemiec znalazły się na północy: Estonia, Inflanty, Kurlandia, Litwa i Białoruś,

³ „*Mein Kampf*” Tom II, str. 724

na południu zaś cała Ukraina wraz z Krymem i węglowym zagłębieniem donieckim oraz zagłębienie naftowe na Kaukazie.

Niemcy wzniesli na tym olbrzymim obszarze kruchą i krótkotrwałą, ale głęboko i śmiało pomyślaną budowlę polityczną, w której odgrywali rolę faktycznych gospodarzy.

Składała się ona z kilku elementów.

Głównym z nich była „niepodległa” Ukraina, sięgająca na zachodzie po Biłgoraj, Szczebrzeszyn, Krasnystaw, Radzyń, Międzyrzec, Mielnik i Prużanę. Na północy powstało „państwo litewskie”, zaś los pozostałych prowincji, odstąpionych Niemcom przez Sowiety w traktacie brzeskim, miał być rozstrzygnięty po zakończeniu wojny.

W każdym razie w tej gigantycznej niemieckiej budowli, wzniesionej na ziemiach byłego caratu, znajdowała się również „niepodległa” Polska – nędzna łupina na oceanie germańskiego imperium, wtłoczona między Prusy i dochodzącą swymi granicami do Lublina, niemiecką Ukrainę.

„Plany, zaczęte w Brześciu – pisze Andrassy, ostatni minister spraw zagranicznych Austro-Węgier – były największą koncepcją militarystyczną, jaką duch niemiecki dotychczas potrafił wymyślić. Polegała ona na tym, by Niemcy z pominięciem Austro-Węgier, poza linią Hamburg – Bagdad, uzyskały jeszcze jedno połączenie z Azją Wschodnią i z Indiami, wiodące przez Kijów i Azję Środkową, poprzez kraje, poddane ich zupełnej przewadze wojskowej”.

Pokój brzeski 1918 r. jest najdoskonalszym dokumentem niemieckiej polityki wschodniej, równie interesującym dla nas, jak i dla Rosji, a interesującym tym bardziej, że autorzy bynajmniej nie traktują go, jako archiwalnego zabytku.

Pokój ten nazwano u nas testamentem cesarskich Niemiec. Trzeba być zupełnie ślepym, zupełnie nie znać położenia Niemiec dzisiejszych, by twierdzić, że nie ma w nich kandydatów na jego wykonawców. Jeśli Niemcy cesarskie potrzebowały dla siebie ukraińskiej pszenicy, donieckiego węgla i kaukaskiej nafty, a obszarów od Kurlandii po Krym dla nadmiaru swej ludności, to tym bardziej, tym bezwzględniej potrzebują tego Niemcy dzisiejsze. Powtarza się dawna historia: obmurowana od zachodu i południa przez kraje o gęstym zaludnieniu, spiętrzona fala niemiecka będzie szukać ujścia na wschodzie. I tu już nie chodzi o tych kilka biednych powiatów polskiego Pomorza. Ono nie nakarmi narodu, który patrzy łakomie na daleką Ukrainę, na obszary, tak niedawno jeszcze okupowane przez niemieckiego żołnierza.

Wzrok siedemdziesięciu milionów Niemców wbity jest dziś uporczywie w „ziemię obiecaną” na Wschodzie. Na drodze, która tam wiedzie, leży jednak państwo polskie.

ROSJA I POLSKA

Walka polsko-rosyjska, a ściślej mówiąc: polsko-moskiewska rozpoczęła się z chwilą, gdy północno-wschodnie granice naszego państwa dotarły – po unii z Litwą – w głąb ziem ruskich, po Witebsk i Smoleńsk.

Formujące się wówczas państwo moskiewskie, ośrodek krystalizacyjny późniejszego imperium carów, musiało, siłą rzeczy, zwrócić się przeciwko Rzeczypospolitej. Walka ta toczyła się przez dwa wieki ze zmiennym szczęściem. Smoleńsk przechodził z rąk do rąk. Hetmani polscy oblegali Moskwę, Żółkiewski rezydował na Kremlu, wodzowie moskiewscy zapędzali się pod Wilno. Niedalecy byliśmy chwili, w której król polski miał zasiąść na tronie carskim...

Im mocniej jednak krzepło państwo moskiewskie i im bardziej rozpręgała się politycznie i militarnie Rzeczypospolita, tym dotkliwiej odczuwaliśmy napór wschodniego sąsiada. Było, to rzeczą zupełnie naturalną, że carstwo moskiewskie dążyło do rozszerzenia swych granic i że rozszerzało je między innymi kosztem naszych ziem północno-wschodnich. Ekspansja moskiewska musiała się zwrócić przede wszystkim przeciwko Polsce, ponieważ myśmy odgradzali Moskwę od Zachodu, od morza Bałtyckiego, gdy równocześnie Turcja zamykała jej dostęp do morza Czarnego. W rękach polskich znajdował się poza tym Kijów, stolica dawnego państwa ruskiego, którego spadkobiercą mieniło się carstwo moskiewskie.

W ciągu wieku XVII-ego tracimy ostatecznie na rzecz Moskwy: na północy – Smoleńsk, na południu – Kijów wraz z całą lewobrzeżną Ukrainą. W następnym stuleciu Moskwa wkracza już zdecydowanie na drogę polityki imperialistycznej i konsekwentnie wyrąbuje sobie dostęp do obu mórz: Bałtyckiego i Czarnego. Piotr Wielki rozciąga władzę rosyjską nad, wydartym Turkom, ujściem Dniepru, a w kilkanaście lat później opiera granice swego państwa o Bałtyk, zabierając Szwecji wybrzeża zatoki fińskiej z Estonią i Karelią.

Następstwem usadowienia się Rosji w Inflantach i nad morzem Czarnym było wzięcie przez nią udziału w rozbiorach Polski. Carat zabrał w nich ziemie, które nadały naturalny kształt jego zachodniej granicy, skracając linię między nadmorskimi posiadłościami na północy i południu. Zawładnięcie Kurlandią i Litwą etnograficzną rozszerzyło wyjście Rosji na Bałtyk, a dotarcie, po III-cim rozbiorze, do linii Bugu zapewniło caratowi panowanie nad ziemiami, do których, jako do ziem ruskich, rościł sobie historyczne pretensje.

Dopiero po Kongresie Wiedeńskim, a właściwie po zgnieceniu Powstania Listopadowego państwo rosyjskie wtargnęło w serce Polski etnograficznej i stanęło twarzą stopą nad Wisłą, Prosną i Drwęcą.

Jak już starałem się udowodnić, Prusy popchnął do niszczenia Polski ich istotny interes państwowy. Bez Pomorza i Wielkopolski były one państwem nienaturalnie rozczłonkowanym, w ogromnie trudnym położeniu militarnym i gospodarczym; bez

posiadania dorzecza Wisły wschodnia prowincja królestwa pruskiego skazana była na ekonomiczne uschnięcie.

Rosja również miała w zabieraniu naszych ziem wschodnich swe, scharakteryzowane wyżej, interesy polityczne, lecz niewątpliwie znaczenie mniej istotne. Nad Wisłę zaś pchnął ją głównie łakomy, staroświecki imperializm, mierzący siłę państwa ilością kilometrów kwadratowych obszaru i ilością, płacących podatki, poddanych. Żadnymi innymi względami, żadnym głębszym interesem politycznym, militarnym czy gospodarczym nie można wytłumaczyć zagarnięcia przez Rosję ziem Polski etnograficznej. Wystarczy zresztą porównać stosunek caratu do „kraju przywiślańskiego” i stosunek Prus do ich nabytków rozbiorowych, by przekonać się, jak zasadniczo różne grały tu rolę motywy psychologiczno-polityczne. Prusy traktowały swój zabór tak, jak dobry gospodarz traktuje ziemię, która jest mu bezwzględnie potrzebna, którą uważa za swą wieczystą własność. Wiemy dobrze, ile Poznańskie i Pomorze zawdzięczają pod względem cywilizacyjnym i gospodarczym rządowi niemieckim. Nie można tego faktu przemilczać, ponieważ świadczy on niezbicie o tym, że wspomniane dzielnice były i są Niemcom w całym słowa tego znaczeniu potrzebne, że Berlin patrzył na nie, jako na ziemie niemieckie, które po wszystkie czasy pozostaną pod jego władzą. Tam był stosunek właściciela i troskliwego gospodarza. Natomiast Rosja występowała w Królestwie jedynie w roli najeźdźcy i okupanta, który ujarzmiony kraj niszczył i rujnował. Do „prywislinja” służyły szumowiny całej administracji carskiej: najbezwzględniejsi łupieżcy i najsprytniejsi złodzieje imperium Romanowów, by zrabować, ukraść i wywieźć do Rosji, co tylko się dało. Rząd petersburski ukoronował swój stosunek do Królestwa słynnym odwrotem wojsk rosyjskich w 1915 r. zorganizowanym pod hasłem zostawienia po sobie „gołej ziemi”.

Królestwo było Rosji niepotrzebne, rząd rosyjski zresztą stale liczył się z perspektywą jego utraty i starał się – póki czas – jak najskuteczniej je złupić, wydobyć z niego, najbardziej barbarzyńskimi środkami, jak największe korzyści.

Umyślnie poruszam to charakterystyczne zjawisko różnego stosunku obu naszych sąsiadów do ziem, wydartych Polsce, ponieważ daje nam ono nieco materiału, ułatwiającego odpowiedź na zasadnicze dziś pytanie: o ile Rosja jest zainteresowana ponownym rozbiorem naszego państwa, tak, jak są tym zainteresowane Niemcy?

Stosunki między odrodzoną Polską i Rosją Sowiecką nie ułożyły się w sposób zły. Mieliśmy wprawdzie na samym progu niepodległości wojnę ze wschodnim sąsiadem, wojnę, w której właściwie myśmy byli stroną atakującą, idącą w głąb dawnego imperium carów z planem pozbawienia go najbogatszej prowincji – Ukrainy, ale od chwili zawarcia Traktatu Ryskiego Rosja Sowiecka nie zdradza praktycznie zamiaru wcielenia w swe granice jakiegokolwiek dzielnicy Rzeczypospolitej.

Piszę: nie zdradza praktycznie, gdyż w kominternowskim planie „przebudowy” Europy Polska porwana jest na strzępy. podzielona między sowieckie Niemcy, sowiecka Ukrainę, sowiecka Białoruś itd. Praktyka polityczna Sowietów odbiega jednak daleko od tych czerwonych marzeń.

Składa się na to szereg czynników.

Dzisiejsze państwo rosyjskie nie potrzebuje naszych wschodnich województw i nie odczuwa ich braku. Ani względy gospodarcze ani strategiczne nie skłaniają dziś naszego wschodniego sąsiada do zmiany granicy, ustalonej przez Traktat Ryski. Sowiety nie cierpią na przeludnienie: chorobę, trapiącą współczesne Niemcy, ani na brak surowców, których zresztą nie znajdują w błotach Polesia. Separatyzmy narodowościowe, dające się we znaki Związkowi Radzieckiemu, nie czyniłyby z Małopolski Wschodniej czy Wołyńia specjalnie pożądanego dlań nabytku.

Idealy polityczne, przyświecające hrabiemu Bobrińskiemu w czasie okupacji rosyjskiej we Lwowie w 1914/15 roku, nie budzą dziś specjalnego przekonania w rządowych kołach sowieckich.

I dlatego też Sowiety nie żyją myślą „odwetu za Rygę” nie uważają obecnej granicy polsko-rosyjskiej za potworną niesprawiedliwość dziejową, za rozdarcie żywego ciała narodu rosyjskiego. Można widzieć w Rosji bardzo duże niebezpieczeństwo dla naszego państwa, ale trzeba się przecież zgodzić z tym, że bolszewicy z innym uczuciem patrzą na Wilno, Nowogródek czy Łuck, niż hitlerowcy na Poznań, Toruń lub Katowice.

Wyżej wyłuszczone, czynniki nie są jednak jedynym powodem, dla którego Rosja nie zdradza obecnie wobec Polski dążeń agresywnych. Królestwo Kongresowe również nie było caratowi potrzebne, a jednak Mikołaj I-y poświęcił wiele krwi swoich żołnierzy, by ugruntować w mm rządy rosyjskie.

Istnieje jeszcze jeden czynnik, który zmusza Sowiety do utrzymywania pokoju na granicy zachodniej.

Czynnikiem tym jest oczywiście Japonia.

Przyzwyczajiliśmy się – pod wpływem publicystyki narodowo-demokratycznej – do powtarzania banalnego twierdzenia, że Rosja nam nie grozi, ponieważ ma za swymi plecami imperialistyczną Japonię. Jest to szkodliwe upraszczanie zagadnienia. W roku 1914-ym Rosja również miała za plecami Japonię, a mimo to poszła bez wahania na wojnę z zachodnimi sąsiadami.

Istota wspomnianego problemu polega na tym, że Rosja zwraca się na Wschód wówczas, gdy nad Amurem wzbiera imperialistyczna fala japońska, gdy, mówiąc innymi słowy, Japonia szykuje się do nowego, kolejnego skoku na kontynent azjatycki.

Sytuacja, jaka obecnie panuje na Dalekim Wschodzie, ogromnie przypomina stan, istniejący tam w ostatnich latach ubiegłego stulecia. W r. 1894/5 Japonia zaatakowała i pokonała Chiny. Wojna ta była przygrywką do dalszej agresywnej akcji „państwa wschodzącego słońca”. W odpowiedzi na zwycięstwa japońskie rząd rosyjski zawarł w 1897 układ z Austro-Węgrami, ustalający „status quo” na Bałkanach. Rosja odwróciła się od Europy, by pilnować swych interesów azjatyckich. W roku 1904/5 następuje drugi wylew japońskiego imperializmu, skierowany przeciwko Rosji. Ale już w parę lat później pokonany carat przenosi z powrotem punkt ciężkości swej polityki na zachód. Japonia jest na dłuższy okres czasu nasycona i spokojna. Następuje „powrót Rosji do Europy” i wzięcie przez nią udziału w Wielkiej Wojnie.

Obecnie szereg objawów wskazuje na to, że rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie potoczy się w bardzo podobny sposób. Po wojnie japońsko-chińskiej przyjdzie niewątpliwie wojna japońsko-rosyjska. Jest to wielkim szczęściem dla Japonii, że Sowiety są dziś niezdolne do prowadzenia wojny, co zmusza je do biernego przyglądania się klęsce sojuszniczych Chin z dość nieprzyjemną świadomością, że po Chinach na nie przyjdzie kolej.

Tak więc szereg czynników zapewnia nam na wschodniej granicy okres względnej spokoju i bezpieczeństwa. Pisząc to, nie mam bynajmniej zamiaru dowodzić, że będzie to spokój długi i trwały. Płytsi wyznawcy programu Dmowskiego, którzy, powołując się stale na Japonię, traktują niebezpieczeństwo rosyjskie ze swobodnym lekceważeniem i w ogóle zamykają oczy na problem naszego wschodniego sąsiada, postępują naiwnie i lekkomyślnie.

Sowiety nie potrzebują dziś Wilna czy Łucka, ale z bólem serca patrzą na tłumy wiernych przed „Ostrą Bramą” i na wyniosłe wieże chrześcijańskich świątyń w naszych kresowych miastach. To je drażni, a równocześnie daje im dużo do myślenia. Wiedzą dobrze, że bez czerwonej Polski nie będzie czerwonej Europy, że wszelkie próby, zmierzające do skomunizowania naszej części świata napotkają na ogromne trudności.

To też jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że gdyby nasi krajowi komuniści usiłowali dokonać w Polsce przewrotu bolszewickiego w poważnym stylu, znaleźliby usłużnego pomocnika w czerwonej armii. Powtórzyłaby się przypuszczalnie w zmienionej formie sprawa dysydencka z XVIII-go wieku, przy czym Stalin pragnąłby odegrać rolę „gwaranta” praw „Kompartii”.

Rosja Sowiecka nie buntuje się dzisiaj przeciwko swej zachodniej granicy. Ale to bynajmniej nie wyklucza, że w przyszłości może zapragnąć jej zmiany, może dążyć do rozszerzenia swego bałtyckiego wybrzeża kosztem – przede wszystkim Estonii i Łotwy, a więc okrążając nas od północy. Mówiąc dziś o Rosji, mamy na myśli Rosję Sowiecką, trzeba jednak również liczyć się z możliwością końca rządów komunistycznych i zasadniczych zmian wewnętrznych u naszego wschodniego sąsiada. Trudno dziś przewidzieć, jak będzie wyglądała Rosja przyszłości, ale kto wie, czy nie odżyją w niej stare miraży bizantyjskie i czy, na przykład, Rumunia nie odczuje ich na swej skórze. Wszystko to są mniej lub więcej luźne przypuszczenia, ale przypuszczenia, które całkowicie leżą w sferze możliwości. I nikomu, kto zna historię dyplomacji europejskiej w ostatnim chociażby stuleciu, z jej wszystkimi niespodziankami, które w krótkich okresach czasu z wrogów robiły przyjaciół, a ze stałych, zdawało się, sojuszników – zażartych antagonistów, nikomu, kto ma poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski, nie wolno twierdzić, że na naszej wschodniej granicy zawitała era długotrwałego spokoju i bezpieczeństwa. Tak nie jest. Przyjdzie bowiem czas, kiedy ten spokój, nawet potrzebny Rosji, stanie się niedogodny dla nas.

POLSKA I WSCHÓD

Historia nie dostarcza nam przykładu narodu, który byłby narodem silnym politycznie i twórczym cywilizacyjnie, a równocześnie pozbawionym ducha imperialistycznego i zdobywczego. Żywotność fizyczna i duchowa podobnie u jednostki, jak i w narodzie idzie w parze z aktywną, przedsiębiorczą postawą wobec otaczającej rzeczywistości. Naród żywotny i prawdziwie wielki jest zawsze narodem imperialistycznym, to znaczy przekraczającym politycznie, gospodarczo lub cywilizacyjnie swoje formalne granice i kształtującym otaczający obcy świat według właściwych sobie narodowych, cywilizacyjnych ideałów.

Narody, które tej ambicji nie posiadały, nie miały ochoty wpływać na bieg, toczącego się poza ich granicami, życia, które ograniczały się jedynie do ochrony swej politycznej całości, padały prędzej czy później ofiarą bliższych i dalszych sąsiadów, tracąc swą polityczną, gospodarczą lub cywilizacyjną niezależność. Zanik ambicji wpływania na życie otaczającego środowiska jest zawsze w narodzie jednym z charakterystycznych objawów zbliżającego się rozkładu i upadku. Towarzyszył on schyłkowi imperium rzymskiego, towarzyszył również rozkładowi szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Towarzyszył – powtarzam – jej rozkładowi. W okresach bowiem naszej świetności i siły patrzeliśmy daleko po za granice Rzeczypospolitej z myślą o organizowaniu środkowej i wschodniej Europy według polskich zasad politycznych i cywilizacyjnych.

Głównym, a przy tym najtrwalszym i najowocniejszym przejawem twórczego instynktu imperialistycznego naszego narodu była polska ekspansja na Wschód.

Poszliśmy na wschód, gdyż ten kierunek rozwoju był dla nas najłatwiejszy, napotykał na względnie najmniejsze przeszkody. Łatwość ta, brak oporów, wymagających dla przewycięzania wielkiego i ciągłego wysiłku woli wpłynęły w dalszych następstwach bardzo ujemnie na typ polskiego charakteru narodowego. Poszliśmy na wschód, nie rozwiązawszy na zachodzie problemu pruskiego. Błąd ten okupiliśmy strasznie wysoką ceną.

Można wyliczyć znacznie więcej błędów, tkwiących w kierunku i charakterze polskiej ekspansji. Nie wolno też zamykać na nie oczu, gdyż – powtarzam – za drogo nas one kosztowały.

Równocześnie jednak wschodni kierunek polityczno-cywilizacyjnego rozwoju Polski rozszerzył znakomicie nasz obszar narodowy, zapewnił nam trwałe panowanie nad ziemiami, bez których bylibyśmy dziś narodem małym i słabym. Obszar narodowy Polski piastowskiej kończył się na Niemnie, Bugu i Sanie. W chwili zaś upadku Rzeczypospolitej nasz język i nasza cywilizacja panowały w Wilnie i we Lwowie, sięgając nierzadko jeszcze głębiej na wschód. Kto jest dziś dumny z polskości Mickiewicza, niech nie potępia zbyt surowo jagiellońskiego „błakania się po manowcach”. Bez niego nie mielibyśmy bowiem Mickiewicza, a wschodnia granica naszej cywilizacji kończyłaby się na Linii Bugu. A ładna byłaby to Polska, choćby nawet z Gdańskiem, Warmią i Śląskiem Opolskim, ale kończąca się gdzieś koło Brześcia i Białegostoku!

Gdyby nasza ekspansja na wschód postępowała przy równoczesnym zdrowym rozwoju wewnątrzno-państwowym, gdyby nie odbywała się kosztem najżywniejszych interesów Polski nad Bałtykiem, gdyby, wreszcie, nie rujnowały jej zdobyczy najazdy tatarskie, bunty kozackie i wojny moskiewskie, Polska etniczna i Polska cywilizacyjna posunęłyby się niewątpliwie w głąb Białej Rusi i Ukrainy i utrwaliły tam na zawsze naszą państwową granicę. Byłaby to równocześnie granica cywilizacji rzymsko-chrześcijańskiej, ugruntowanej na gruzach świata turańsko-bizantyńskiego.

Niewątpliwym dowodem małości atmosfery życia Polski dzisiejszej jest spokojna rezygnacja większości opinii polskiej z idei polskiego imperializmu, z myśli o potężnym, zdobywczym wyjściu naszej energii politycznej, gospodarczej i cywilizacyjnej poza traktatowe granice Rzeczypospolitej, z myśli o nowej fazie polskiej ekspansji, organizującej po polsku tę wielką połąć Europy, w której mieszkamy. Postanowienia, zapadłe w Wersalu i w Rydze, stanowią dziś dla przeciętnego Polaka niewzruszoną, uświęconą normę naszej polityki, na którą jedynie lekkomyślny a szkodliwy awanturник może podnieść rękę. W tym przekonaniu wychowuje społeczeństwo cała plejada tzw. poważnych publicystów. Uczą nas dopasowywać nasze dążenia i ambicje dziejowe, naszą gwałtowną chęć pełnego, wielkiego narodowego życia do ram, które bądź to ofiarował nam półobłąkany, a całkowicie okiełznany przez masonerię i żydowskich finansistów, prezydent zamorskiego mocarstwa, bądź też któreśmy sami krwawo wywalczyli, ale jeszcze w okresie narodzin niepodległego państwa, a więc w dniach, gdyśmy byli słabi, niezorganizowani, stawiający pierwsze, niepewne kroki na drodze życia państwowego.

Nowe pokolenie polskie wnosi w polityczne życie Narodu odrodzoną polską myśl imperialistyczną. Młody ruch narodowy, wychowany w tradycjach politycznych Narodowej Demokracji wypisał na swych sztandarach hasło odzyskania ziem polskich, odciętych od Rzeczypospolitej granicą wersalską: Śląska Opolskiego, Gdańska, Warmii i Mazurów. Ostrze tego programu skierowane było wyłącznie na zachód. Dziś hołduje mu część nowego pokolenia, pozostająca pod wpływami Stronnictwa Narodowego i pod urokiem doktryny politycznej jego duchowego mistrza. Ruch Narodowo-Radykalny program ten rozszerzył i pogłębił.

Twierdzimy, że zadaniem państwa wielkiego Narodu jest nie tylko objęcie swymi granicami wszystkich ziem polskich, ale także otworzenie nowego szerokiego pola dla jego cywilizacyjnego, etniczno-politycznego i gospodarczego rozwoju. Dziś po dwustu latach winien odżyć przerwany w wieku XVIII-ym rozwój terytorialny naszych sił narodowych, rozwój zasięgu ich cywilizacyjnego wpływu. Chcemy iść naprzód, zdobywać, organizować, chcemy podjąć, przerwane przed wiekami, dzieło i rozszerzyć obszar panowania naszej cywilizacji.

Rozszerzyć – w jakim kierunku?

Dla każdego, kto orientuje się w układzie narodowościowym, kulturalnym i demograficznym otaczającej nas połąć lądu europejskiego, jest rzeczą oczywistą, że nasza ekspansja może mieć dzisiaj prawie wyłącznie kierunek wschodni.

Za naszą zachodnią i południową granicą, rozciągają się obszary, przeważnie gęsto zaludnione, zamieszkałe przez narody, dojrzałe w swym dziejowym rozwoju,

o wykrystalizowanym i zindywidualizowanym obliczu cywilizacyjnym. Panujący tam układ demograficzny, polityczny i cywilizacyjny jest już w wysokim stopniu skrzepły, zdradzający tendencje statyczne. Natomiast, graniczący z nami, Wschód Europy jest jeszcze w znacznej mierze surowy, jego indywidualność narodowa jeszcze niedojrzała, jego typ cywilizacyjny dość miękki i płynny, jego możliwości gospodarcze i demograficzne bardzo dalekie od wyczerpania.

Nad Wschodem Europy mamy pełną przewagę cywilizacyjną, nie posiadamy jej natomiast nad Zachodem. Na zachodzie możemy jedynie poprawić nasze granice państwowe, ugruntować ich polityczną trwałość, objąć nimi te ziemie, których fala niemczyzny nie zdołała jeszcze całkowicie zalać. Ale większe możliwości rozwojowe dla nas tam nie istnieją. Nie wiemy, jaka będzie przyszłość narodu niemieckiego, dziś wszakże nie sposób myśleć poważnie o powrocie Polski nad Łabę. Trudno, z pod grubej warstwy niemczyzny nie odgrzebiemy już słowiańskiej Pompei. Historia nie da się tam odwrócić.

Możliwości natomiast otwierają przed za granicą wschodnią.

Możemy przesunąć granicę cywilizacji rzymsko-chrześcijańskiej w głąb dzisiejszego imperium Sowietów i ugruntować jej panowanie na gruzach świata turańsko-bizantyjsko-komunistycznego.

Możemy rozbić wschodniego sąsiada na szereg państw narodowych, możemy przemożnie wpływać na procesy społeczne, indywidualizujące narodowościowo, podbite ongiś przez carat, obszary.

Możemy podporządkować ukraińskie zlewisko morza Czarnego wraz z jego bogactwami naturalnymi polskiemu systemowi polityczno-gospodarczemu; możemy stanąć nad morzem Czarnym, uzyskując bezpośrednio wyjście na bliski Wschód azjatycki, turecko-perski oraz drogę w głąb azjatyckiego lądu, idącą przez Afganistan do Indii, otwierającą przed Polską niezmiernie perspektywy wpływu cywilizacyjnego i korzyści gospodarczych...

Oczywista, w uszach przeciętnego Polaka, karmionego dziś przez urzędową propagandę „mocarstwową” frazeologią, takie plany brzmią, jak fantastyczna, nieprawdopodobna bajka. Nie świadczy to bynajmniej o ich nierealności, a jedynie o małości i przyziemności dzisiejszego życia polskiego. Nie dorastamy dziś do takich planów. To prawda. Ale mamy wolę dorosnąć wraz ze świadomością, że biada nam, jeśli okażemy się za mali. Polsce nie wolno być małą pod groźbą zniszczenia...

Szczegółowe przedstawianie polskich możliwości rozwojowych na Wschodzie wykracza poza ramy niniejszego szkicu, ograniczyłem się więc jedynie do scharakteryzowania ich w sposób najogólniejszy. Z tych pobieżnych uwag wypływa jednak jeden oczywisty i zasadniczy wniosek: bezwzględną przeszkodą, stojącą na drodze do urzeczywistnienia naszej wschodniej misji, jest państwo rosyjskie. Rosja stanowi tu przeszkodę bez względu na swą treść społeczno-polityczną, niezależnie od tego, czy jest Związkiem Radzieckim czy też będzie miała jakąkolwiek inną formę ustrojową. Posiadanie pszenicznej Ukrainy, zagłębia donieckiego i wybrzeży czarnomorskich jest dla Rosji pod każdym względem sprawą ogromnej doniosłości.

I dlatego też musi nadejść kiedyś chwila, w której ostrze polityki polskiej zwróci się przeciwko wschodniemu sąsiadowi, rozbijając jego – specjalnie dla nas ważne – prowincje na szereg państw narodowych. Najżywotniejszy interes Polski nakazuje, by zamiast jednolitego i centralistycznego mocarstwa, które stoi na drodze naszej niezbędnej ekspansji, rozciągał się za obecną wschodnią granicą Rzeczypospolitej szereg mniejszych organizmów państwowych, opartych o Polskę, podporządkowanych naszemu systemowi politycznemu. Bez rozbicia obszarów, ujarzmionych ongiś przez carat, na zespół państw mniejszych i słabszych, nasza droga na Wschód, ku wybrzeżom morza Czarnego pozostanie zamknięta. A drogę tę trzeba otworzyć dla Wielkiej Polski i – podkreślam to z naciskiem – tylko dla Wielkiej Polski.

PROGRAM POLITYKI POLSKIEJ

I. PROGRAM DMOWSKIEGO

Istnieją obecnie w Polsce trzy zasadnicze programy polityki zagranicznej.

Najstarszy z nich, posiadający bogatą tradycję i praktykę, wyszedł z narodowo-demokratycznej szkoły Dmowskiego. Opiera się on na dwóch głównych przesłankach. W lapidarnym skrócie dadzą się one ująć następująco: najgroźniejszym wrogiem Polski są Niemcy, nie jest nim natomiast Rosja, uwikłana w konflikty na Dalekim Wschodzie, nie mająca zresztą żadnego głębszego interesu w walce o posiadanie naszych wschodnich prowincji. Z powyższych przesłanek płynie wniosek, że zadaniem polskiej polityki zagranicznej jest, z jednej strony, utrzymywanie pokojowych stosunków z Rosją, z drugiej zaś szukanie sprzymierzeńców przeciwko Niemcom wśród państw, podobnie jak my zagrożonych przez ich agresywne dążenia. Tym naturalnym sprzymierzeńcem Polski jest przede wszystkim Francja.

Powyższy program, rozwinięty przed laty przez Dmowskiego i polski Komitet Narodowy w Paryżu, znalazł w ostatnim okresie licznych nowych wyznawców, którzy przyłgnęli doń z, właściwym neofitom, fanatyzmem. Żydzi, masoneria i socjaliści, ongiś pełni serdecznej przyjaźni dla, sprzymierzonych z Sowietami, Niemiec „weimarskich”, stali się po rewolucji hitlerowskiej głównymi apostołami idei antyniemieckiej krucjaty. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim uczuciem autor „Polityki polskiej” patrzy na to towarzystwo międzynarodowych szumowin, przyznające się z zapałem do jego programu, głoszące gorliwie hasła przyjaźni z Francją i Czechosłowacją, rozdzierające chałaty nad losem ludności polskiej w III-ciej Rzeszy i w Gdańsku...

Dla tych antyniemieckich neofitów narodowo-demokratyczny program polityki zagranicznej jest oczywiście zbyt „faszystowski” w stosunku do Rosji Sowieckiej. Dmowski opierał swój system antyniemiecki na sojuszu polsko-francuskim przy neutralnych stosunkach polsko-rosyjskich. Odrzucał bezwzględnie sympatyczną dla pewnych kół francuskich myśl przepuszczenia wojsk sowieckich przez terytorium polskie w razie wojny francusko-niemieckiej czy niemiecko-czeskiej. Projekt ten znajdował jednak cichych, lecz gorących wyznawców w szeregach tzw. „Frontu Morges”, nie mówiąc już naturalnie o innych, działających w Polsce, niedwuznacznych agendach masońskich i komunistycznych. Te ostatnie nakładają na Rzeczpospolitą święty obowiązek gościnnego otwarcia granic czerwonej armii, maszerującej ratować zachodnich sojuszników Sowietów.

Oczywiście, oceniając, scharakteryzowany powyżej, program polityki zagranicznej, celowo pominię jego zwyrodniałe odgałęzienie, wyhodowane pod skrzydłami międzynarodówek. Jest ono produktem myśli niepolskiej, pracującej dla niepolskich a najczęściej wrogich Polsce celów. Plan polityczny, przeznaczający Polsce rolę obrońcy wiary masońsko-żydowskiej w naszej części świata, rolę pomostu, poprzez który „ojciec demokracji” Stalin roztoczy opiekuńcze skrzydła nad kominternowskimi

agenturami w środkowej i zachodniej Europie, nie zasługuje na traktowanie, jako plan polityki polskiej.

Wróćmy więc do programu narodowo-demokratycznego.

W świetle dotychczasowych rozważań nad położeniem Polski między Rosją i Niemcami nie ulega wątpliwości, że zasadniczym błędem wspomnianego programu jest jego jednostronność. Rozwiązanie problemu stosunków polsko-rosyjskich to słaby punkt systemu politycznego Dmowskiego. Idea zgodnego współżycia Polski i Rosji nie wydaje się być trwałą i możliwą do realizowania na dłuższą metę. Jest ona niewątpliwie słuszną dzisiaj, ale w dalszej przyszłości stanie się po prostu anachronizmem, sprzecznym z tendencjami rozwojowymi naszego narodu. Niechęć Dmowskiego do osłabiania Rosji jest dość krótkowzroczna – nie można jej pogodzić z dalekosiężnym planem polityki polskiej, z myślą o polskim imperium w środkowo-wschodniej Europie. Silna Rosja, nawet skłonna do zgodnego współżycia z Polską, będzie zawsze bryłą, leżącą na naszej drodze do wielkości i potęgi, do urzeczywistnienia polskiej misji cywilizacyjnej na Wschodzie.

Program polityki zagranicznej, wyciągający ręce po Śląsk Opolski i Mazury, a równocześnie głoszący utrzymanie status quo na Wschodzie, jest zatem rażąco jednostronny, nieodpowiadający interesom Polski jako wielkiego państwa.

II. PROGRAM „WYPRAWY KIJOWSKIEJ”

W ostatnich latach myśl polityczna Narodowej Demokracji spotkała się z głęboką i inteligentną krytyką w środowisku młodych piłsudczyków, zgrupowanych wokół czasopism „Bunt Młodych” i „Polityka”.

Żyjące w tym środowisku, idee polityki zagranicznej nie są bynajmniej nowe. Tkwią one korzeniami w okresie pierwszych lat naszej odbudowanej niepodległości, w przeciwrosyjskich planach Józefa Piłsudskiego i jego politycznych towarzyszy z Tadeuszem Hołówką na czele, reprezentujących wówczas tzw. program federacyjny na wschodzie. Wyprawa Kijowska 1920 r. która miała wyzwolić Ukrainę z pod rządów rosyjskich i stworzyć z niej, niepodległe a związane z Polską, państwo, pozostała po dziś dzień symbolem tej myśli politycznej, otoczonym głębokim kultem przez jej najmłodszych wyznawców.

Wspomniany zespół młodych piłsudczyków przekuł, dość mgliste i niesprecyzowane, tendencje federacyjne swych ideowych mistrzów na konkretny, zwarty, usystematyzowany program polskiej polityki zagranicznej. Trzeba przyznać, że dokonał tego z niemałym talentem, chlubnie świadczącym o jego intelektualnej wartości. Kilka lat temu ukazała się książka, która ów program rozwinęła i uzasadniła: „Między Niemcami i Rosją” Adolfa Bocheńskiego. Mimo, iż wiele nas dzieli od poglądów politycznych tej grupy, mimo, że nie zgadzam się z głównymi postulatami wymienionej pracy, muszę przyznać, że książka Bocheńskiego jest jedną z najlepszych polskich publikacji politycznych na przestrzeni ostatnich lat, godną niewątpliwie stanąć obok, poświęconych temu samemu zagadnieniu, dzieł Dmowskiego.

Neofederacyjny kierunek myśli politycznej wychodzi z założenia, że obecny zatarg rosyjsko-niemiecki winien zostać przez Polskę wykorzystany celem osłabienia i unieszkodliwienia jednego z naszych przeciwników tak, by, zawsze możliwy, przeciwpolski sojusz Rosji i Niemiec stracił w pewnej mierze swą dawną, niebezpieczną siłę.

Przeciwnikiem, którego możemy osłabić i obezwładnić przez rozbitcie jego państwowego, różnonarodowego obszaru na szereg mniejszych państw jest Rosja. Dla tego celu winna pracować Polska, zwiąawszy się przeciw-rosyjskim przymierzem z hitlerowskimi Niemcami. Bocheński nie twierdzi wprawdzie wyraźnie, że w ataku na Rosję powinniśmy korzystać z wojskowego współdziałania Niemiec, daje jednak wszystkie przesłanki, które uprawniają czytelnika do przypisania mu takiego właśnie wniosku.

Tak w bardzo ogólnym skrócie można sformułować główne poglądy spadkobierców idei wyprawy kijowskiej. Zaznaczam, że jest to jedynie ich charakterystyka najogólniejsza, uwypuklająca wyłącznie momenty, dla moich rozważań zasadnicze.

Nad krytyczną analizą scharakteryzowanego wyżej programu zatrzymam się nieco dalej, przy uzasadnianiu poglądów Ruchu Narodowo-Radykalnego. Teraz wypada jeszcze poświęcić kilka słów trzeciemu, istniejącemu w Polsce, programowi polityki zagranicznej: programowi ministra Becka.

III. PROGRAM „PALACU BRÜHLOWSKIEGO”

Przedstawienie wspomnianego programu jest o tyle trudne, że jego twórcy i realizatorzy nie wyjaśnili go dotychczas wszechstronnie opinii polskiej. Wskutek tego wytworzyła się wokół niego niezdrowa atmosfera najfantastyczniejszych domysłów i plotek, chciwie pochłanianych przez społeczeństwo, nie wiedzące, jakie plany przyświecają naszej polityce zagranicznej. Dla zobrazowania, jakiego to gatunku są plotki, wystarczy tylko przypomnieć pogłoskę, ustawicznie powtarzaną w pewnych kolach „politycznych”, że „Beck sprzedał Hitlerowi Pomorze”.

Przy czym autorzy tej, „całkowicie sprawdzonej”, wiadomości nie mogą jeszcze z całą pewnością ustalić, czy w zamian za Gdynię otrzymamy Kłajpedę, czy też Ukrainę...; na ten temat istnieje przy kawiarnianych stolikach poważna różnica zdań.

Polityka zagraniczna marszałka Piłsudskiego a następnie ministra Becka poszła po linii uniezależnienia Polski od systemu politycznego francuskiego i stworzenia równowagi w naszych stosunkach ze wschodnim i zachodnim sąsiadem. Podstawą tej równowagi stały się pakt o nieagresji, zawarte z Niemcami i z Sowietami przy równoczesnym podtrzymaniu sojuszków wojskowych z Francją i z Rumunią, zapewniających nam sprzymierzeńców na obu frontach. W ciągu ostatnich lat nasze ministerstwo spraw zagranicznych usiłowało wzmocnić pozycję Polski między Rosją i Niemcami, to znaczy między „demokratycznym” układem: Paryż–Praga–Moskwa i „faszystowskim” ośrodkiem berlińskim przez budowanie polskiego bloku „państw neutralnych”, sięgającego od Bukaresztu po Helsinki.

Scharakteryzowany wyżej system polityczny jest słuszny i właściwy jeśli uznamy, że wyłącznym celem polityki polskiej jest zapewnienie naszemu państwu względnie zrównoważonej pozycji na falującej złowrogo mapie Europy. Stworzony przez „Pałac Brühlowski”, system przymierzy i porozumień utrzymuje nas istotnie na powierzchni niespokojnego morza stosunków międzynarodowych. Jest to system statyczny, system, zapewniający Polsce *modus vivendi* w istniejącym układzie sił politycznych w Europie.

Układ ten nie jest jednak stały – więcej: zdradza coraz wyraźniej swą kruchość i chwiejność. Prędzej czy później rozleci się przy akompaniamencie huku armat. Gdzie stanie wówczas Polska? Z kim i przeciw komu pójdzie? Na jaką szalę rzuci swój miecz? – Oto pytania, na które nie ma dziś odpowiedzi.

Znane są doraźne cele naszej polityki zagranicznej, znany jest system środków, którymi się posługuje, ale nikt nie umie powiedzieć, jakie są jej cele zasadnicze, jak pałac brühlowski wyobraża sobie rolę Polski w Europie jutrzejszej, jak chce tę Europę kształtować. Powstaje środkowo-europejski blok „państw neutralnych” pod egidą Polski. Tworzy się go – przypuszczalnie – nie po to tylko, żeby istniał i powiększał europejską kolekcję „bloków” i „osi”, ale po to, by go w odpowiedniej chwili użyć. I tu znowu pytanie: przeciwko komu? Jakie swoje cele mamy przy jego pomocy osiągać?

Tak więc, rozpatrując naszą politykę zagraniczną z punktu widzenia dnia dzisiejszego, możemy stwierdzić, że jest ona – poza paroma punktami, przede wszystkim poza sprawą Gdańską – słuszną i rozsądną.

Niestety dzień dzisiejszy stanowi jedynie krótkotrwałą chwilę ciszy przed wielkimi wstrząsami, które jutro z sobą niesie. Z jakimi planami w to jutro wchodzimy? Z jaką myślą rozwiązania problemu „między Rosją i Niemcami”? Z jakim programem urzędowania środkowo-wschodniej Europy? – nie wiemy.

DROGI WIELKIEJ POLSKI

Z analizy położenia Polski między Rosją i Niemcami łatwo wyprowadzić oczywisty wniosek, że nasz zachodni sąsiad jest tym, który zagraża interesom polskim w sposób najbardziej bezpośredni.

Polityka Wielkiej Polski i polityka Wielkich Niemiec krzyżują się w dwóch zapalnych punktach. Jednym z nich są naturalnie nasze ziemie zachodnie z Pomorzem na czele, ziemie, o których myśli i marzy każdy niemiecki patriota, drugim – obszary, rozciągające się za wschodnią granicą Rzeczypospolitej. Wspomniałem już wyżej, że Niemcom chodzi o coś znacznie więcej niż o naszych kilka pomorskich powiatów. Dlatego też interesy polskie i niemieckie krzyżują się także na Ukrainie, na obszarach dorzecza Dniepru i Bohu, tam, gdzie naród niemiecki widzi ujście dla nadmiaru swej żywotnej energii, a naród polski jedyną drogę dla swej ekspansji cywilizacyjnej, politycznej i gospodarczej.

Pisząc to, bynajmniej nie mam zamiaru wzbudzać w kimkolwiek nienawiści do naszego zachodniego sąsiada i dowodzić, że walka na śmierć i życie między Polską i Niemcami jest czymś nieuchronnym. Nie, pragnę jedynie stwierdzić, że przy niewątpliwie istniejącej, głębokiej sprzeczności między interesami obu krajów, zasadnicze konflikty między nami i Niemcami są zawsze bardzo prawdopodobne i polska polityka zagraniczna musi się z ich prawdopodobieństwem liczyć.

Znajdujemy się dziś w o tyle wygodnym położeniu międzynarodowym, że dwaj nasi sąsiedzi i tradycyjni przeciwnicy są z sobą skłócenii, a poza tym jeden z nich – Rosja Sowiecka – jest zagrożony na Wschodzie przez nowy wylew imperializmu japońskiego i w znacznej mierze militarnie obezwładniony wskutek systematycznego mordowania najwybitniejszych dowódców czerwonej armii. Dzięki temu możemy skupić naszą czujną uwagę na granicy zachodniej, nad którą bynajmniej nie ulatuje anioł pokoju... Ruch Narodowo-Radykalny odrzuca program polsko-niemieckiego współdziałania na Wschodzie, program, znajdujący dziś w Polsce wcale liczny zastęp zdolnych i wpływowych wyznawców.

Nie znaczy to oczywiście, że pragniemy, by Wielka Polska ochraniała swego wschodniego sąsiada. Przyopuszczenie takie było by absurdem. Twierdzimy jednak, że Wielka Polska może zwrócić się na Wschód dopiero wówczas, gdy będzie uwolniona od potężnej konkurencji niemieckiej o wpływy nad Dnieprem i morzem Czarnym.

Program polsko-niemieckiego marszu na Wschód przywodzi na myśl słowa Karola V-ego, który tak scharakteryzował stosunki między Cesarstwem a Francją: „ja i mój kuzyn, król francuski jesteśmy zupełnie zgodni jedynie w sprawie Mediolanu: ja chcę Mediolanu i mój kuzyn też chce Mediolanu”. Podobna zbieżność interesów istnieje między Polską i Niemcami: nasz zachodni sąsiad chce panować nad Ukrainą, my również chcemy podporządkować płaszczyznę czarnomorską naszemu planowi polityczno-gospodarczemu. I dlatego też zwolennicy polsko-niemieckiej koalicji przeciw Rosji grzeszą dużą krótkowzrocznością i brakiem wyobraźni. Cała ich koncepcja jest bardzo ponętna i prosta aż do chwili... pokonania Sowietów. Dalszy jednak rozwój wypadków

może przybrać obrót dość, powiedzmy, dla Polski niewygodny, jeśli się zważy, że będziemy mieli na wschodnim froncie „sojusznicze” armie niemieckie. Czy wrócą one potulnie do swych garnizonów w Królewcu, Berlinie i Wrocławiu? Czy z chwilą zakończenia działań wojennych przeciw Rosji uznają swoją rolę za skończoną? Czy pozostawią Polsce polityczne wyzyskanie zwycięstwa? Czy po raz drugi, tym razem już dobrowolnie, ustąpią z obszarów, do których naród niemiecki od lat żarłocznie wyciąga rękę?

Oto pytania, nad którymi odpowiedzialny polityk winien się jednak zastanowić. Są w Polsce ludzie, którzy odpowiadają na nie twierdząco. Co do nas, to zbyt wysoko cenimy niemiecki rozum polityczny, byśmy mogli przychylić się do tego poglądu. Oczywiście, można wskazywać, że będą traktaty, układy, zobowiązania, regulujące najbardziej sporne kwestie. To jednak nie osłabia naszego sceptycyzmu; chyba wolno nam przecież brać pod uwagę doświadczenie historii, zwłaszcza nam, Polakom, którzyśmy mieli do czynienia z „Wielkim Elektorem”... Bo czyż nie jest to szczególnie charakterystycznym zjawiskiem, że historycy niemieccy obdarzyli tego największego oszusta w dziejach Prus mianem „wielkiego”?

Tak więc polsko-niemiecki sojusz przeciw Rosji kryje w sobie groźne niebezpieczeństwo dla państwa polskiego. Przepuszczanie wojsk niemieckich na terytorium rosyjskie, dopuszczanie Niemców do udziału w rozprawie z Rosją było by po prostu podpaleniem własnego domu po to, by zajął się od niego dom sąsiada. Bo niewątpliwie podpaleniem własnego domu jest każda próba dopomożenia Niemcom do realizacji ich gigantycznych planów na Wschodzie. Mamy osiemdziesiąt milionów Niemców za naszą zachodnią granicą. Chcemy żyć z nimi w zgodzie, choć sąsiedztwo to nieraz daje nam się we znaki. Czyż jednak leży w interesie Polski, by i na Wschodzie pojawiły się polityczne gniazda niemieckie? Polacy, którzy chcą je uwić polskimi rękoma, chorują na bardzo szkodliwy brak wyobraźni. Szkodliwy i niezrozumiały. Bo – powtarzam – wystarczy przypomnieć beselerowskie „państwo” polskie, oblانة zewsząd morzem niemieckiego imperium, by wyobrazić sobie, dla jakiego układu sił w naszej części Europy mielibyśmy pracować! Otworzylibyśmy niemieckiemu potokowi drogę na wschód, łudząc się z dziecinną naiwnością, że odpłynie on z powrotem do swego starego łożyska...

Najwięksi w Polsce sympatycy Niemiec są dość dziwnymi sympatykami – posądzają je stale o brak rozumu politycznego.

* * *

Chcemy, by nasz stosunek do Niemiec był dobrze rozumiany. Treścią jego nie jest nienawiść. Przeciwnie, dla współczesnych Niemiec mamy dużo szacunku. Szanujemy ten naród nie tylko za to, że w ostatnich latach dał dowody rzadkiej energii, stanowczości i zmysłu politycznego, ale przede wszystkim za to, że dobrze przysłużył się cywilizacji europejskiej. Narodowo-socjalistyczne Niemcy przyczyniły się w wielkiej mierze do podważenia międzynarodowej pozycji tych sił, które naszą cywilizację rozkładały i niszczyły. Cios, wymierzony przez hitleryzm żydostwu oraz jego narzędziom: masonerii i marksizmowi, posiada ogromną wartość nie tylko polityczną, ale cywilizacyjną w ogóle.

(Oczywiście nie mamy tutaj na myśli walki z Kościołem Katolickim oraz bałamutnych doktryn społeczno-filozoficznych, krzewiących się w III-iej Rzeszy. Nasz stosunek do tych zjawisk jest oczywisty i nie potrzebuję go raz jeszcze przedstawiać).

Ale przy dużym szacunku, jaki mamy dla współczesnych Niemiec, nie możemy, niestety, odwrócić oczu od naszej zachodniej granicy, nie przekonują nas głosy, dowodzące, że nastąpił dziejowy zwrot w stosunkach polsko-niemieckich i że oba narody winny obecnie zgodnie podnieść swój miecz przeciwko, sąsiadującemu z nami, Wschodowi...

Nie ulega wątpliwości, że Niemcom zależy obecnie na utrzymaniu przyjaznych stosunków z Polską.

Rzesza jest dzisiaj mocarstwem, dominującym nad polityką europejską, dyktującym swą wolę „demokratycznym” zwycięzcom z Wielkiej Wojny. Jak długo jednak potrwa odrodzona hegemonia niemiecka w Europie? Hitler jest zbyt trzeźwym i przewidującym politykiem, by nie rozumiał, że prędzej czy później stanie przed jego państwem widmo nowej koalicji. Historia Europy uczy go, że ilekroć pojawiała się na naszym kontynencie wielka siła polityczna, zмирzająca do uzależnienia innych od siebie, grożąca zwichnięciem równowagi międzynarodowej, tyle razy zagrożone państwa podawały sobie ręce, by wspólnymi siłami obalić potężnego przeciwnika. W ten sposób Europa powstrzymała imperializm Ludwika XIV, powaliła Napoleona i pokonała wilhelmowskie Niemcy.

III-a Rzesza nie pragnie dziś stanąć oko w oko z nową koalicją. Tym tłumaczy się chęć odciążenia Anglii od Francji oraz ugodowe stanowisko wobec Polski.

Tak jest dzisiaj, ale jak będzie jutro?

Hitlerizm jest w całej swej istocie ruchem zdobywczym i może istnieć tylko jako ruch zdobywczy, idący od zwycięstwa do zwycięstwa. Potężna dynamika narodowego socjalizmu, usilnie podsycana przez specjalny aparat propagandowy, musi znajdować ujście w coraz to nowych aktach niemieckiej ekspansji politycznej. Jak dotychczas, rządy hitlerowskie w Niemczech były jednym pasmem triumfów o rozmiarach, nieznanym w dziejach naszego zachodniego sąsiada. Ta potężna, rozbujana zwycięstwami, dynamika III-iej Rzeszy jest jej wielką siłą, ale równocześnie niemałą słabością. Hitlerowskie Niemcy, zatrzymane w swoim imperialistycznym pochodzie, osadzone w miejscu, pozbawione haszyszu ciągłych triumfów, mogą się znaleźć w obliczu groźnych fermentów wewnętrznych. Narodowy socjalizm przypomina wezbraną górską rzekę – zahamowany, obmurowany tamami, zacznie rwać brzegi, zdolny jest stać się siłą niszczycielską, niezwykle trudną do ujarznienia. Dlatego też Hitler musi karmić swój naród coraz to nowymi zdobyczami. Odbudowanie potęgi militarnej Niemiec, odzyskanie Nadrenii, wcielenie Austrii do Rzeszy, zagarnięcie krajów sudeckich... W świadomości każdego Niemca utwierdzone jest głęboko przekonanie, że to jeszcze nie koniec, a nawet: że to dopiero początek, wstęp do dalszych, wielkich zdobyczy, czy też – w niemieckim pojęciu – rewindykacji...

Oto są ważne, psychologiczne czynniki, które – obok szeregu innych, politycznych i gospodarczych, wyżej już omówionych – nie pozwalają nam karmić się iluzjami na temat zachodniego sąsiada.

Niemcy idą na Wschód. Po zgnieceniu Czechosłowacji macki Berlina dotarły na Ruś Podkarpacką. Zdaje się, że Rzesza chce przeznaczyć temu kraikowi rolę bazy operacyjnej polityki niemieckiej przeciw Rosji, rolę ukraińskiego „Piemontu”, z którego będzie promieniować nad Dniepr idea „niepodległej” Ukrainy w stylu 1918 roku...

Równocześnie Niemcy patrzą z coraz większą uwagą na Litwę Kowieńską, poważnie myśląc nad otworzeniem sobie bramy do krajów bałtyckich, bezpośrednich sąsiadów państwa sowieckiego. Słyszeliśmy już o propozycjach „handlowych” przedstawionych Litwie przez rząd berliński. Mamy wrażenie, że jest to dopiero niewinna przygrywka do jakiejś akcji na większą skalę.

Niemiecki potok, prac na Wschód, żłobi sobie drogi okrężne, a przez to długie i najeżone skomplikowanymi trudnościami. Na szlaku najprostszym leży jak skała państwo polskie. I dlatego też polityka niemiecka marzy, by skałę tę poruszyć, pchnąć w kierunku wschodnim, rozbić przy jej pomocy imperium sowieckie, przekuć ją na gładki gościniec, ułatwiający „narodowi bez przestrzeni” urzeczywistnienie najwspanialszych snów...

I dlatego też państwo polskie nie może przystąpić do realizacji misji naszego Narodu na Wschodzie dopóty, dopóki będzie czuło na swej zachodniej granicy nacisk spiętrzonych fal niemieckiej.

Wspomniałem już o niebezpieczeństwach, które kryje w sobie plan polsko-niemieckiego współdziałania na Wschodzie. Niemniej ryzykownym i krótkowzrocznym jest pomysł samodzielnej akcji Polski w tamtym kierunku przy równoczesnym istnieniu obecnej proporcji sił między nami i III-ą Rzeszą. Jakiż, silny i śmiały, naród zachowa się obojętnie wówczas, gdy mu obcy będą zabierać dla siebie cel jego długich marzeń i pragnień? Sądzę, że takim narodem jest przede wszystkim dzisiejszy naród niemiecki...

Polska musi pozbyć się groźnej rywalizacji swego zachodniego sąsiada. Musi rozstrzygnąć dziejowy problem swych stosunków z Niemcami tak, by, idąc na Wschód, nie potrzebowała obawiać się uderzenia nożem w plecy lub też, popieranym orężem, pretensji sąsiada do współdziałania w urządzaniu krajów, ujarzmionych dziś przez Sowiety.

Ponad wiekami słabości i upadku, nawiązujemy do wielkiej myśli pierwszych Jagiellonów, tej myśli, która pchnęła naszą cywilizację na Wschód, ale także stworzyła Grunwald i pokój Toruński.

Przed wielką walką o urzeczywistnienie polskiej misji na Wschodzie czeka nas walka na innym froncie. Od niej zależy, czy będziemy mogli wznowić potężny, twórczy, samodzielny pochód polskiej cywilizacji.